

Warszawa, dnia 13.10.2017

ŚWIADECTWO S. IWONY SKWIERAWSKIEJ FMA

25 maja 2017 dostałam telefon z SOM-u, że jedna z wolontariuszek z Zambii, która przebywa w Tanzanii na dwutygodniowym wypoczynku, leży w szpitalu w Moshi, gdyż zachorowała na malarię mózgową. Ponieważ jestem jedyną salezjanką Polką pracującą w Tanzanii, zwrócono się do mnie. Było już po godzinie trzynastej, więc w tym dniu było już za późno, aby przejechać z Dar es Salaam do Moshi, jedzie się tam około 9 godzin autobusem. Dostałam numer telefonu do Magdy, drugiej wolontariuszki, więc postanowiłam zadzwonić do Niej, żeby dowiedzieć się więcej szczegółów. Zadzwoniłam do naszej wspólnoty Księży Salezjanów w Moshi, żeby poszli do szpitala i zorientowali się w sytuacji.

A ja zaczęłam się przygotowywać do wyjazdu następnego dnia rano. Po dziewięciu godzinach podróży znalazłam się w Moshi, jeden z Salezjanów wyjechał po mnie i udaliśmy się do szpitala. Gdy pojawiłam się na oddziale, zdążyłam tylko na moment wejść do sali, gdzie leżała Monika, gdyż dwóch lekarzy już na mnie czekało. Widząc ją, pomyślałam: „Boże, Ona umiera”... Nieprzytomna i Jej kolor skóry zaczął się zmieniać – taki „trupi kolor”, wiedziałam, jak groźna jest malaria mózgową, to był cud, że przeżyła tyle dni. W rzeczywistości, lekarze chcieli rozmawiać z kimś z Rodziny Moniki, gdyż Jej stan zdrowia był krytyczny i oni doskonale o tym wiedzieli. Zdawali sobie sprawę, że lekarstwa były podane za późno. Jak się później dowiedziałam, ilość pasożytów we krwi przekraczała wszelkie normy dla Afrykańczyka, a cóż dopiero dla Europejczyka, który nigdy nie miał do czynienia z malarią. W rozmowie z lekarzami okazało się, że malaria zaatakowała nerki i potrzebna jest dializa, ktoś musiał podpisać papiery i wziąć odpowiedzialność za chorą. Miano ją przygotować do dializy następnego dnia.

Kiedy już miałam jasny obraz sytuacji, skontaktowałam się z Księdzem Dyrektorem Ośrodka Misyjnego, informując o stanie Moniki, trzeba było zawiadomić Rodzinę i przygotować ich na ewentualną śmierć. Poradziłam Mu również, żeby przyjechał, nie mając pewności, jak skończy się ta historia.

Teraz musiałam się zająć drugą wolontariuszką, która była z Moniką już dwa dni i nocę w tym szpitalu, była zmęczona, ale bardzo odważna, zachowała w takim momencie naprawdę zimną krew i jasność umysłu. Byłam też mile zaskoczona obecnością innych Polaków, którzy wspierali Magdę w tym ciężkim momencie. Państwo Zduńczykowie Robert i Gonia i pani Jolanta, świecka wolontariuszka, która pracuje od lat w Tanzanii.

Tego dnia pojechaliśmy do wspólnoty Księża Salezjanów w Moshi, gdzie zatrzymaliśmy się na nocleg, to był nasz dom w tym trudnym czasie. Księża udzielili nam wszelkiej pomocy, której potrzebowaliśmy. A w szpitalu nie odstępował nas Justus, student medycyny, były wychowanek ze szkoły salezjańskiej, dzięki któremu udawało nam się dotrzeć bez żadnego problemu do wszystkich miejsc w szpitalu.

Następnego dnia podpisałyśmy wszystkie dokumenty i miano zacząć dializy. Stan był bez zmiany, pozostawało nam tylko się modlić. Mówiliśmy do Niej, aby mózg pracował, byłyśmy tam, aby czuła, że ktoś z Nią jest. Nie wiedzieliśmy, jaki jest stan mózgu, ponieważ szpital nie posiada tomografu komputerowego ani żadnego innego urządzenia do badań głowy. Pozostawało tylko czekać i modlić się. Ponieważ informacja obiegła nasz salezjański świat, modlono się za Nią we wszystkich wspólnotach w Tanzanii i Kenii.

Po pierwszej dializie Jej stan się nie zmienił, nerki nadal nie podjęły pracy, przygotowano Ją do drugiej dializy. W tym czasie przyleciał ks. Jacek, Dyrektor Salezjańskiego Ośrodka Misyjnego i teraz w trójkę rozpoczęliśmy walkę z malarią. Codzienny lekarz mówił nam, przecież widzicie, jak wygląda, przygotowując nas na najgorsze i nie dając żadnych zapewnień. Mając ogromne doświadczenia w walce z malarią, gdyż ponad 30 lat pracował w Moshi i specjalizował się w tej chorobie, wiedział, jaki jest stan. Po drugiej dializie nerki trochę zaczęły pracować, ale nie było to jeszcze zadowalające. Następną dializę była zaplanowana na poniedziałek i lekarz zasugerował nam, że więcej nie są w stanie Jej pomóc, że lepiej byłoby, gdybyśmy postarali się o przeniesienie Jej do Nairobi Hospital w Kenii, gdzie mogą się Nią zająć lepiej. Jej stan był stabilny do transportu, oddychała samodzielnie, tutaj już nic więcej nie mogli zrobić. Niepokoił stan mózgu, gdyż była już nieprzytomna ponad tydzień. Nie pozostało nic innego, jak zająć się organizowaniem transportu. I tu znowu Opatrzność postawiła na naszej drodze Pana Jarka mieszkającego w Arushia, który zajmował się transportem medycznym i mógł nam udzielić wszelkich informacji i pomocy. Dzięki Niemu transport był gotowy na wtorek rano, po poprzedniej walce z firmą ubezpieczeniową.

Wcześniej rano udaliśmy się do szpitala, aby przygotować Monikę i wszelką dokumentację i jakież było nasze zdziwienie, gdy powitała nas Monika, z szeroko otwartymi oczami, w pełni przytomna, odpowiadając na pytania w dwóch językach. Wszyscy mieliśmy łzy w oczach i pierwsza myśl, która nasuwała się to – cud. Również lekarze nie mogli uwierzyć, cały oddział był podekscytowany, wszyscy przychodzili, żeby Ją zobaczyć. Lekarz był ostrożny, potrzebne były dodatkowe badania, a tego nie mogli zapewnić w tym szpitalu. Szybko przygotowano Ją do transportu i przed jedenastą odleciała do Nairobi, asystowana przez Magdę i Ks. Jacka. Ja wróciłam do Dar es Salaam i od tej pory otrzymywałam tylko dobre wiadomości, bo Monika szybko odzyskiwała siły, bez żadnych skutków ubocznych i zmian po przebytej malarii.

Doznałam tej łaski uczestniczenia w tym cudzie, bo tak postrzegam tych pięć dni spędzonych w Moshi. Moniki nie znałam, nigdy Jej nie widziałam, więc łatwo było mi zachować trzeźwe myślenie, skoncentrowana byłam tylko na tym, co robić i jak jeszcze mogę Jej pomóc. Modliłam się za Nią, ale w sposób szczególny za Jej Rodzinę, mogłam sobie wyobrazić katusze, jakie przeżywają, otrzymując wiadomości z daleka. Od momentu, kiedy zobaczyłam Ją po raz pierwszy, wiedziałam, że stan jest krytyczny. Ona umierała. Wiedziałam, że jeśli

przeżyje, leczenie będzie trwało bardzo długo, zwykle tacy pacjenci otwierają oczy po tygodniach, po miesiącu i nigdy nie wiadomo, jakie będą skutki uboczne. Widząc Ją przytomną już po pięciu dniach, rozmawiającą i zdającą sobie sprawę z tego, co się dzieje dookoła, było dla mnie szokiem. Jestem przeświadczona, że był to cud, w swojej pracy misyjnej nie spotkałam się nigdy z podobną sytuacją, nawet nie słyszałam czegoś podobnego. Myślę, że bardziej byłam przygotowana na Jej śmierć, w najlepszym wypadku na bardzo długie leczenie, a to co zobaczyłam, przekroczyło wszelkie moje oczekiwania. Widząc Ją każdego dnia, nawet na moment nie przyszło mi to do głowy, że może otworzyć oczy, dla mnie cudem było to, że wciąż żyła i Jej stan się poprawiał. Drugim cudem był dla mnie klimat, jaki otaczał nas przez cały czas: życzliwość, dobroć, zatroskanie, pomoc od ludzi dookoła, to było jak łańcuch dobrych czynów, w odpowiedniej chwili pojawiała się następna osoba, która pomagała nam przebrnąć przez trudności, które się pojawiały.

Jeszcze raz doświadczyłam wielkiej mocy modlitwy wspólnotowej, bo dla Boga wszystko jest możliwe. Dziękuję Bogu, który zawsze okazuje nam Swoje miłosierdzie.